GŁOS

TYGODNIK POLSKIEJ MYŚLI NARODOWEJ

Rok V — Nr. 17 | Poznań, dnia 1 grudnia 1935 | Cena 20 gr

Adolf Nowaczyński, Warszawa

MIEROSŁAWSKI ZREHABILITOWANY?

Na całem życiu wodza powstania wielkopolskiego z r. 1848 zaciążył jeden zarzut, który go przygniatał, prześladował w ciągu jego całego burzliwego conguistadorskiego, awanturniczego, ale bądźcobądź skroś ofiarnego i heroicznego żywota rycerskiego. Zarzut ten przewija się przez wszystkie biografie zabarwiając niektóre z nich wprost obcesjonalną antypatją i wzgardą (M. Wierzbiński). Apologetycznie odnosi się do Mierosławskiego właściwie tylko jeden Moraczewski. Z objektywizmem i jeszcze względnie traktuje go H. Szuman, natomiast Guttry



zionie doń nienawiścią i on to głównie najwięcej miejsca w swem „Pamiętniku" poświęca tej pierwiastkowej winie generała, która rzuciła mu cień na całe życie. Pod kątem i sugestją tej plamy Mierosławskiego osądzają już potem wszystkie jego i poczynania polityczne i wyczyny militarne.

Nie wdając się w ocenę jego strategicznych zdolności, czego dokonały już zresztą wyczerpująco kompetentne pióra, nie biorąc w obronę jego bezsprzecznie skrajnie radykalnego nastawienia socjalnego w latach krytycznych, w których los z Wielkopolską zetknął tego pół-Francuza z ducha i z temperamentu, pozwolimy tu sobie w nowem świetle postawić właśnie tę jego pierwiastkową winę, która tak dokładnie i po prokuratorsku została stwierdzoną przez spółcześników Guttrego i Mottyego, a tak surowo osądzoną przez nam spółczesnych M. Wierzbińskiego i Rakowskiego.

Crimen zwycięzcy Prusaków pod Miłosławiem polegał na tem, że Mirosławski, znalazłszy się w r. 1846 po pierwszej nieudałej rewolcie, z 254 więźniami w berlińskim Moabicie, pierwszy zaczął „śpiewać" i wysypywać tak siebie samego jak i innych, jako świadomych spiskowców i niepodległościowców. Przykład ten podziałał i na innych, a przerażony tą moralną prostracją tajemniczy „Litwin" „Kurnatowski" popełnił straszliwe samobójstwo, nie ufając sobie samemu. Wprawdzie Mierosławski swoje zeznania potem cofnął, ale oburzenie wśród współwięźniów przybrało tak drastyczne dlań rozmiary, że nie szczędzono mu epitetów zdrajca i Judasz. Pod tak potwornem podejrzeniem przeżył Mierosławski omal cały rok, broniąc bardzo odważnie i zaciekle swego poglądu i swej metody zeznań; wszelkie „wyłgiwanie się" uważał za ubliżające i miał rzekomo obowiązek przyznawania się do wszystkiego co zaszło, gdyż tylko w ten sposób manifestuje się światu i Europie bezwzględną dążność Polaków do niepodległości i wolności. Inni natomiast, i to omal wszyscy, przyjęli jako taktykę obrony wypieranie się wszystkiego, tembardziej, że do niczego właściwie nie doszło prócz znanego incydentu na moście Chwaliszewskim. Aczkolwiek więc potem zeznania swe z pierwiastkowego śledztwa Mierosławski cofnął, to jednakże podczas monstre — procesu wygłosił wspaniałą mowę, broniącą dążenia do niepodległości, znów winę biorąc na siebie i swoich.

Wyrok sądu berlińskiego dnia 2 grudnia 1847 r. ogłoszony, wypadł, jak wiadomo, całkiem groźnie, gdyż większość skazaną została na lat 6, 8, 10, 20, (Karol Libelt) na 25, na dożywotnią fortecę, kilku zaś na śmierć, a wśród nich na pierwszem miejscu Mierosławski. Już ta surowość wyroku powinna była otworzyć oczy Guttryemu i wpłynąć łagodząco na jego zajadłość.

Kilkudziesięciu więźniów z Moabit zostało całkiem uwolnionych, między nimi młody, lat 22 liczący, Bogusław Łubieński z Kiączyna, syn Konstancji Łubieńskiej z Marcelina pod Poznaniem. I oto w związku z tym młodym człowiekiem sprawa winy Mierosławskiego może teraz dopiero po 90 latach oświetloną być jeszcze z innej strony, odciążając mocno wodza-zwycięzcę z odpowiedzialności za jego taktykę w zeznaniach, kolidującą z taktyką reszty to jest 254 współuwięzionych. Wyjaśnić dziś bowiem będzie można kto wpłynął względnie, kto mógł wpłynąć na taką, a nie inną taktykę przyznawania się Mierosławskiego do zbrodni stanu" i temsamem na ryzykowanie na demonstrację, na narażania wszystkich i każdego z osobna na ciężkie kary ze śmiercią włącznie i to wszystko za czyny ostatecznie nie popełnione, skoro samo powstanie nie doszło do skutku.

Wśród uwięzionych i oskarżonych był więc także Bogusław Łubieński, syn znanej działaczki, patrjotki, pisarki, założycielki pisma dla kobiet („Dziennik domowy") i przyjaciółki Mickiewicza, Konstancji Łubieńskiej, późniejszy poseł, działacz, powstaniec z r. 1848 i z r. 1863, a wonczas młodzieniec zapalny niepodległościowiec, radykał wplątany w różne organizacje i sprzysiężenia. Zrozpaczona matka (wdowa), chcąc syna ratować, zdecydowała się jechać do Berlina i na uproszonej u króla audjencji sprezentować mu niewinność polityczną Bogusława, jego idealizm i egzaltację, i wreszcie króla o łaskę dla syna uprosić. Przedtem atoli chciała zasięgnąć rady swego przyjaciela w Paryżu (gdzie w Sacre-Coer chowała się jej córka Marja) jaką taktykę obrończą należy jej wybrać, aby synowi przynieść ocalenie i wolność.

Mickiewicz w owym czasie znajdował się w ostatniej (przed zerwaniem) fazie natężenia Towiańszczyzny i pod wpływem „mistrza" Razputina głosił zasady „niesprzeciwiania się złemu", przebaczania przemocy i despocji, potępienia wszelkiego gwałtu i zbrojnego odporu, chrześcijańskiej pokory i skruchy. Pod hypnozą mistrza Andrzeja, tego cywilnego archireja szarlatanów, Mickiewicz do bohaterskiej, ale nieudalej rewolty w Wielkopolsce odniósł się z najwyższą nieprzychylnością i wprost z potępieniem.

Już do swojego przyjaciela z r. 1831 hr. Józefa Grabowskiego, u którego rezydował najstarszy brat Adama Franciszek, wyraził to w najenergiczniejszych słowach w liście z dnia 12 st. 1847:

„Przychodząc już na świat, odzieczyliśmy zły porządek społeczny i biedę narodową, winy wieków... Żeby wybrnąć z takiego stanu nadzwyczajnego, z takiej przeprawy berezyńskiej, trzeba nadzwyczajnych wysileń, a mianowicie wysileń moralnych, od których rodacy nasi uciekają, wolą burdę bezowocną zacząć, niż długą pracą myśl narodową dźwignąć... Pójdę więc dalej swoją drogą, a mam nadzieję, że kiedyś na niej znajdą się wszyscy ludzie dobrej woli... Obywateli z waszego kraju widywałem dawniej często i widuję, ale ze wszystkimi prawie walczymy... Z oddawcą tego listu miałem podobną rozmowę. On zdawał się bardzo rad z tego co zaszło u was a co on nazywa powstaniem. Niewiele słuchał kiedy wystawiałem nikczemność całej roboty. Tłumaczył się entuzjazmem, zapałem. Otóż właśnie nie było tam ani entuzjazmu, ani zapału, ani wiary, tylko wzajemne łudzenie się".

Jak więc widzimy z tego, poryw wolnościowy 254 więźniów z Moabitu nazwany jest dość twardo: „burdą" i nikczemnością. Kiedy więc zrozpaczona matka udała się do wielkiego przyjaciela o poradę, Wieszcz odpowiada jej w listach, z których dwa są drukowane, ale mało znane. Jeden z nich byłby niewytłumaczalnem wprost curiosum, gdyby całej jego osnowy i tonu nie tłomaczyło zatrucie toksynami „bestji" i „łajdakserji", jak Towiańskiego i jego działalność nazwał... Lenartowicz. Najważniejszy ustęp tego listu brzmi następująco:

„Tylko moja Konstancyo na przyjaźń naszą dawną i z obu stron szczerą błagam ciebie rozważ dalsze każde słowo z tych, które tobie podaję względem tej podróży (do Berlina P. A.).

(„Nieznane listy" wydanie L. Posadzego. Poznań, 1842).

Naprzód otrząśmy się zupełnie z zamiarów i zdań, które masz teraz np. z zamiaru skarżenia urzędników, bronienia oskarżonych, doniesienia różnych niesprawiedliwości etc. etc. Wszystkiego tego zapomnij, całkiem. Wyższy zamiar weź w siebie i wyższe czucie w sobie obudź. Obudź w sobie czucie miłości dla Monarchy, przed którym staniesz. On jest człowiekiem, on wszystkiego nie może zrobić czego żąda (sz. ? P. A.). Pamiętaj, że i ty często nie możesz tak prędko i tak pełnie wyświadczyć sprawiedliwość lub dobrodziejstwo jakbyś chciała. On jest dziedzicem wielu dawnych niesprawiedliwości... Zażądaj tedy przed Bogiem tego, abyś mogla Monarsze takich słów kilka wyrzec z którychby on poczuł, że Ty masz w duszy pokój i nadzieję, chociaż na ziemi w takim ucisku... Nie zrażaj się chłodem przyjęcia lub odmową i staraj się wyjść z tym spokojem z jakim przyjdziesz... Tylko powtarzam ci nie wdawaj się w procesy. Nie uniewinniaj oskarżonego, bo sama dotąd nie wiesz czy on prawnie czy nieprawnie cierpi. I król o tem wiedzieć nie może. Nie skarż się na uciski, bo naród cały cierpi, a wielu więcej cierpi niż Twój syn. Mów śmiało żeś Polka, że wierzysz w zmartwychwstanie Polski jak w to, że Chrystus zmartwychwstał i sądzić będzie żywych i umarłych, ale że nie wiesz jak to będzie, że w ludzkie środki nie wierzysz, że nie konspirowałaś i nie będziesz konspirować, że nic wspólnego niemasz z robotami ostatnich rozruchów, ale że chcesz z prawdziwej przychylności dla Monarchy, pod którego rządem Bóg cię postawił, ostrzedz go, aby według zimnego prawa i według zimnych zdań radców swoich nie sądził Polaków, których dusza tylu cierpieniami rozogniona... Proś Boga aby szedł za natchnieniem swego królewskiego serca, mów mu że tylko tego jednego żądasz... Jest to ważna chwila w Twoim życiu Konstancyo. Pokaż się innym Polakiem niż są ci krzykliwi i gniewliwi zapaleńcy, umiejący tylko w kącie (Moabitu ? P. A.) siłę udawać... Ale jeślibyś jechała tylko jako solicytantka łaski dla syna, lub skarżycielka etc. Konstancyo taka rola byłaby ciebie niegodna...".

Takie były ultralojalistyczne i rojalistyczne dość niespodziewane rady ze strony pisarza, który oficjalnie głosił republikanizm we wszystkich swych enuncjacjach i przeciw monarchom i monarchizmowi nader energicznie występował.

Jeszcze oryginalniejszy atoli jest drugi list do Konstancji Łubieńskiej, wypowiadającej się w sprawie więźniów w Moabit, doradzający im i domagający się spowiedzi i prawdy.

Do tego listu dodana jest odezwa-orędzie dla więźniów z Moabit „dla wręczenia jej więźniom" Stanu na Sądach Berlińskich, po której napisaniu jednak zreflektowawszy się, Mickiewicz uprasza Łubieńską, aby „zachowała u siebie i nikomu niepotrzebnie" nie komunikowała. W liście tym z 18 października czytamy:

„Przewidywałem trud Twój w interesie, o którym piszesz, przewidywałem opór. Boję się przeczuć, o ile są winni. Chcieliby koniecznie wmówić w siebie i w drugich, że są bohaterami. Wstręt do spowiedzi, bez której niemasz szczerości, niema postępu, okrywają wybiegami, uciekając się do praw pozytywnych i do stosunków miejscowych. Na to niema sposobu. Jeśli zrobiłaś coś mogła, resztę zostaw Opatrzności. Ma ona środki wyciśnięcia prawdy z człowieka, jeżeli on dobrowolnie do prawdy podnieść się nie chce".

Ponieważ Mickiewicz początkową dotychczasową metodę bronienia się przez 250 więźniów uważał za niewłaściwą i uwłaczającą, przeto w odezwie tej za „prawdą" (?) i za „spowiedzią", doradza nieszczęśliwcom z Moabitu następujący plan podany tu w skrótach:

„Powinniśmy uważać za łaskawe zarządzenie opatrzności, że proces nasz, w którym zadanie moralne, pytania istotne, tyczące się narodowości i ducha, górują nad pytaniami prawnemi, toczy się przed rządem Monarchy znanego stąd, że on swoje samoistne (selbststaendige) uczucia moralne wyżej stawi nad wszelkie względy interesów czasowych i polityki codziennej. Stajemy przed sędziami uczciwemi i światłemi i nawet bezstronnemi, o ile może dla nas być bestronnym, w sprawie o narodowość, człowiek obcego narodu...

My jako narzędzie nieodpowiednie celom opatrznosci złamani jesteśmy. Jako żołnierze nieszczęśliwi, zwyciężeni jesteśmy. Jesteśmy jeńcami wojennemi (Kriegsgefangene). — Pozostaje nam odezwać się z tego stanowiska do sędziów naszych. Charakter sędziów moralny i nadzwyczajność sprawy, daje nam nadzieję, że sędziowie poznają nadzwyczajność swego położenia i zdobędą się ze swojej strony na czyn nadzwyczajny, którego pod innym królem, w innym czasie, niepodobna byłoby po sędziach wymagać, a którego teraz mamy prawo oczekiwać.

Od litery martwej prawa odwołujemy się do ducha narodu niemieckiego i do serca króla, które serce jest w ręku Boga".

Można sobie teraz wyobrazić w jak podwójnie tragicznej sytuacji znalazła się teraz i matka i patrjotka. Jak bronić syna, jaki system zaakceptować, czy ona sama synowi nie zaszkodzi, doradzając więźniom (a więc synowi) system „spowiedzi", „prawdy", „skruchy", „obudzenia w sobie wyższego czucia" dla bądź co bądź... Hohenzollerna? Czy można zawierzyć „sercu"... wielkodusznego monarchy? Czy „projekt obrony przed Trybunałem Berlińskim" podać więźniom do wiadomości, skoro go napisał i przesłał Hetman duchowy narodu, czy też go schować i zataić, jak przy końcu listu zalecał? Można sobie wyobrazić, co się działo w sercu i matki i Polki i przyjaciółki. Wreszcie jednak zdecydowała się do Berlina wyjechać, na audjencję do króla nie iść, natomiast orędzie Wieszcza do więzienia Moabickiego przemycić i na odpowiedź czekać. Ponieważ z rodziną Libeltów żyła w serdecznej przyjaźni (trzymała do chrztu syna Karola, który poległ w powstaniu styczniowem), więc orędzie Wieszcza przesłała na jego ręce.

Arystydes polski, autor dzisiaj jeszcze i dzisiaj znów aktualnych prac „O miłości ojczyzny" i „O odwadze cywilnej", odpowiedział natychmiast Konstancji Łubieńskiej. Jego wnuk zaś p. Karol Łepkowski z archiwum rodzinnego list ten wyciągnął i opublikował. Nie podajemy go w całości, gdyż, by wyczerpać problem bez reszty, Libelt rozwodzi się per longum et latum fortiter in re fortites in modo.

Jeden z tych niezbyt znów w Polsce licznych charakterów bez przygany i bez pochyby, bohater, wojownik, filozof i mędrzec tak zaczyna list do przyjaciółki Mickiewicza, przez lat 80 przez biografów i historyków literatury przemilczanej i bojkotowanej:

„Szanowna Pani!

Powitany przez Panią, witam Ją wzajemnie wśród nas, a witam z tem rzetelnem uczuciem przyjaźni i szacunku, które zawsze miałem dla Pani. Z tego też uczucia dzieje się, że pokrótce odpisuję na przywiezione z zagranicy uwagi, jakie tam o nas mają, na któreby dla każdego innego milczeniem odpowiedział, bo one pokazują albo zupełną niewiadomość rzeczy albo złą wiarę".

Poczem ten człowiek może nie genialny, ale za to etyczny w każdym celu i zdrów na ciele i umyśle, snuje następujące wywody:

„Gdyby się ktoś dokonanego czynu zapierał, który dla wyzwolenia ojczyzny dopełnił, byłby podły, gdyby się z tego czynu, który mu powinien być cnotą, chciał uniewinniać. Zrobiłem moją powinność, to byłaby jego obrona! W obecnym wypadku do czynu nie przyszło, było tylko tajne jego przygotowanie. Do czegóż więc się ma przyznawać? Do tego, czego nie zrobił? Do tego, iż coś chciał zrobić! A za co, to jest samą chęć, prawo śmiercią karze? Mojem zdaniem, byłoby takie przyznanie ze względu na siebie głupstwem, ze względu na kraj własny, do którego moja osoba należy, — lekkomyślnem jej szafowaniem, ze względu na innych — nierozsądną chełpliwością. Chełp się z tego coś zrobił, ale nie z tego, coś chciał zrobić. Ale takie przyznanie się byłoby

(Ciąg dalszy na stronie 3-ej)

M. K. Dziewanowski, Kraków

JAQUES BAINVILLE

Na sesji w dniu 28 marca, zwołanej dla obsadzenia trzech wakujących foteli po śmierci Raymonda Poincaré, ks. Bremond i zamordowanego w Marsylji min. Barthou, Akademja Francuska wybrała trzech nowych nieśmiertelnych: powieściopisarza Claude Farrere'a krytyka literackiego André Blessort, oraz Jaques Bainville'a.

O ile jego dwóch towarzyszy można określić od biedy jednem słowem, to Bainville stanowczo wymyka się z pod tego rodzaju ogólnikowych charakterystyk. Bainville to historyk, dziennikarz, polityk, ekonomista, krytyk literacki i teatralny, natura renesansowo bogata, której nic francuskiego nie może być ani na chwilę obce. Może on śmiało powiedziec, wraz z Chestertonem: „Jedna jest rzecz ważna na świecie — wszystko! A reszta?... to marność nad marnościami...!"

Wybór Bainville'a, jednego z twórców francuskiego ruchu narodowo - monarchistycznego, czołowego publicysty bojowo - antydemokratycznej i antymasońskiej „Action Française" to niewątpliwy znak czasu. To coś, jakgdyby akademicki „szusty luty" roku ubiegłego. Wybór ten jest wyrazem tych procesów i przemian, które oddawna już dokonują się w psychice elity intelektualnej Francji, a ostatnio coraz silniej zaczynają przejawiać się i w szerszych masach.

Jaques Bainville urodził się w Vincennes, 9 lutego 1879, obecnie jest więc w pełni swych sił twórczych. Po ukończeniu studjów prawniczych na uniwersytecie paryskim wyjeżdża do Niemiec. Owocem tej podróży jest jego pierwsze dzieło: „Ludwik II bawarski", które zwróciło nań oczy historyków francuskich. Poznawszy Barresa, Maurrasa i Henryka Vaugeois organizuje wraz z nimi ruch narodowo - monarchistyczny, oraz zakłada dziennik „Action Française", od którego cała ta grupa polityczna bierze swą nazwę.

Przy redagowaniu pisma, stawiającego pierwsze kroki, objawia się w całej pełni niepo polity talent dziennikarski i publicystyczny Bainville'a; jużto pod własnem nazwiskiem już to pod pseudonimem prowadzi on równocześnie dział polityki zagranicznej, pisze recenzje teatralne, feljetony literackie, artykuły ekonomiczne, sprawozdania z parlamentu, często jest nieomal całą redakcją w jednej osobie. W tym też czasie publikuje Bainville cały szereg dzieł historycznych, stawiających go w rzędzie najpoważniejszych historyków i pisarzy politycznych zarazem. Ukazują się więc kolejno: w r. 1910 „Bismarck i Francja", w r. 1913 „Coup d'Adagiret la question d'Orient". w r. 1918 „Histoire de trois générations", po wojnie zaś w r. 1920 „Konsekwencje polityczne pokoju", oraz „Italja wobec wojny".

W czasie wojny min. spraw zagranicznych wysyła go w ważnej misji do Rosji. W r. 1920 zostaje redaktorem naczelnym „La Revue Universelle", gdzie drukuje sporo swych artykułów, zwłaszcza fragmenty mającej ukazać się wkrótce „Historji Trzeciej Republiki; wszystko to nie przeszkadza mu stale współpracować z kilku innemi pismami jak: „Petit Parisien", „La Liberte", „La Nation belge". Poza tem wszystkiem prowadzi intensywne badania historyczne. Wydaje rewizjonistyczną, przeciwstawiającą się absolutnie materjalizmowi dziejowemu, „Historję Francji", „Osiemnasty Brumaire'a", oraz „Napoleona", dzieło sensacyjne w najlepszem tego słowa znaczeniu.

* * *

Sorel w swych rozważaniach nad historją („Vue sur l'histeire") powiada, że najbardziej zabójczą wadą historyka jest „prejuge du détail", brak zdolności i zmysłu syntezy „esprit de l'ensemble". Bainville należy właśnie do historyków, posiadających ten zmysł syntezy w najwyższym stopniu. Jest to może najbardziej uderzającą cechą jego umysłowości.

Poza zmyslem syntezy cechuje Bainville'a jasność i prostota w przedstawianiu wypadków historycznych, oraz zdolność, którą możnaby nazwać umiejętnością przezwyciężania odległości w czasie. Bainville potrafi w ten sposób opisywać ludzi oraz wypadki historyczne, że zapominamy zupełnie o różnicy epok i środowisk; różnice te wyrównał sugestywny talent pisarski Jacques Bainville'a...

Styl jego, wytworny w swej jasności i prostocie, potoczysty i naturalny, każe czytelnikowi wierzyć, że on sam potrafiłby pisać taksamo. Bainville jest klasykiem; każde słowo ma u niego swą wagę i znaczenie, wszystko jest harmonijne i zrównoważone. Parokrotnie porównywano go pod względem stylu z Voltairem. Porównanie to bardzo dla Bainville'a zaszczytne, nie jest bynajmniej przesadzone.

Jaques Bainville — intelektualista, racjonalista raczej niż mistyk, chłodny obserwator, niema w sobie nic z proroka czy choćby pisarza bawiącego się w przepowiadanie przyszłości. Bynajmniej! Jest on jednak obdarzony taką zdolnością jasnego patrzenia w przeszłość, obserwowania teraźniejszości i taką umiejętnością wyciągania wniosków na przyszłość, że jasność ta może być łatwo poczytana za jasnowidztwo. Takie myśl nasuwają się nieodparcie przy czytaniu jego, do dziś dnia aktualnych „Konsekwencyj politycznych pokoju".

> „Sama sytuacja Prus, kraju podbojów i kolonizacji, wytworzyła pruski militaryzm. Krzyżacy i Zakon Kawalerów Mieczowych to poprzednicy Hohenzollernów. Oni im przekazali zarówno cel, jak i środki. Przy granicach nieustalonych, będących przedmiotem nieustannych zmagań między niemczyzną i słowiańszczyzną, w kraju bez granic naturalnych, otwartym na cztery wiatry, siła militarna jest koniecznością. Heimschutz zorganizował się w naszych oczach, prawie, że samorzutnie, jako demokratyczny Zakon Krzyżowy... Prawdopodobnie rodzą się tam obecnie nowe formy militaryzmu. Nie zabraknie im ani okazji, ani c z ł o w i e k a, który potrafi zużytkować ten militaryzm".

Człowiek taki znalazł się. Od dwóch lat wykuwa „nowe formy militaryzmu" zmieniając cały 60-miljonowy naród w jeden obóz wojenny, w jeden nowoczesny Zakon Krzyżowy...

Bainville może być słusznie uważany za chlubę dziennikarstwa francuskiego. Jego artykuły z polityki zagranicznej, ukazujące się w każdym numerze „Action Française", cieszą się sławą światową. W kilkudziesięciu wierszach potrafi B. dać kapitalną syntezę całej sytuacji politycznej. Jest on przedewszystkiem wolny od dwóch, zawodowych, że tak powiem, wad dziennikarskich: powierzchowności i niesolidności informacji. Każdą sprawę stara się Bainville poznać u źródła, od strony faktów i dokumentów.

Pogląd jego na rzemiosło dziennikarskie najlepiej charakteruzują słowa wypowiedziane w rozmowie ze współpracownikiem „Figaro" — Lucien Romier:

> „Prawdziwą pracą dziennikarza, pracą, która zużywa głównie jego siły, nie jest pisanie. ale przedewszystkiem przygotowanie do pisania."

Szpadę akademicką otrzymał Bainville jako dar studentów francuskich, wśród których jego dzieła historyczne i polityczne cieszą się ogromną popularnością. Bowiem i we Francji młode pokolenie jest w lwiej części narodowe, do czego działalność pisarska Bainville'a niewątpliwie w znacznym stopniu się przyczyniła. Należy on bowiem do tych pisarzy, którzy:

„Couvent la croissance
D'une Renaissance".

Bainville jest **jednym z pionierów odrodzenia narodowego Francji, a jego wybór do Akademji jest tego odrodzenia przejawem.**

K. Dobrzyński, Łódź

POD WIATR

Wypadliśmy jak piorun z pod zmurszałej strzechy
na wiatr!
Ohej! na wiatr!
na wichr, co wieje z niebosiężnych Tatr —
skrzą się nam w oczach radości uśmiechy —
szerokim wdechem zagrała pierś naga,
prężymy się w zrywach wichrowych osmagań
Ohej!
Wiatr rozhulał się w szale, pędzi rwie z kopyta
załopotał po oczach i za włosy chwyta
Ohej! Ohej!
Z szerokich pól i kniej
Ohej! Ohej!
A my lecimy pod wiatr,
A my mkniemy,
szybujemy,
płomieniem i blaskiem niegasnących watr,
wiatr nam włosy rozwiewa,
wiatr nam huczy i śpiewa —
wyje wiatr
w i a t r ! !

Jesteśmy młodzi, roześmiani i cudni —
krew nam w żyłach pulsuje i dudni
i szeroko nam, bezkreśnie i jasno —
stare zorze już gasną;
trza te blaski, co zamrą
sprzęgnąć z jutrem serc klamrą.
Ohej!
Wiej...
wichrze, wiej!

Nie ugniemy się nigdy, przenigdy, przenigdy
nikt nie upadnie zamroczony na dno —
nie znamy granic,
biegniemy za snującą się nićmi Arjadną
i chwytamy jej cudne, śmiejące spojrzenia
i cieszymy się z słońca, wichrów i istnienia.
Pęd nasz śmiały i dumny,
labiryntu kolumny
porozwalał, potrzaskał i skruszył,
a nam śpiewa coś w duszy
a nam w sercach coś rośnie,
coś się rodzi radośnie
Ohej...
Wylecieli z chałupy wieśniacy
skamieniała się kosa w pół drogi —
wzrok im umknął od pracy
i zawiesił się na nas rozdziawiony i niemy,
— czy szatany, czy bogi?...
a my mkniemy i mkniemy...
Borykamy się z wichrem zaostrzamy się w walce
i chwytamy i rwiemy, co nam wpadnie pod palce,
reżim stary, wychudły
porwaliśmy za kudły,
już się zatchnął milczeniem,
już są nowe przestrzenie
Ohej...
Dal lśni tęczy obrazem
Czuj Duch blisko już bramy
Ohej...
Razem!
Uderzamy!!!

Początki tajnych związków w Polsce

W owym okresie żydzi nie potrzebowali się posługiwać wyłącznie tylko narzędziem organizacji tajnej — gdyż rozporządzali mogącą zupełnie swobodnie się poruszać organizacją jawną i legalną. Organizacją tą był rozwijający się stopniowo od wieku szesnastego samorząd żydowski. Znaczenie tego samorządu było taż duże, że wybitny Niemiec (późniejszy marszałek H. v. Moltke) mógł napisać o Polsce przedrozbiorowej, o której miał z pewnością dane z poufnych źródeł urzędowych polskich, iż w niej „Żydzi stanowili obok szlachty najbardziej poważany i najwpływowszy stan w kraju".[1])

Samorząd ten był tak zupełny, że nawet historyk żydowski[2]) określił go nazwą „państwa w państwie". Składał się on z samorządu lokalnego (kahałów tj. gmin żydowskich), oraz z sejmu żydowskiego (waad) koronnego i litewskiego, złożonego z rabinów oraz z delegatów okręgów kahalnych. Waad, zarówno koronny jak litewski, był zupełnie wolny od ingerencji władz państwowych zarówno co do swego składu, jak co do funkcjonowania. Jedynie tylko termin jego zwoływania ustalano w porozumieniu z podskarbim.

Kahały sprawowały jurysdykcję sądową między żydami, — żydowi, który zaskarżył innego żyda do sądu polskiego, groziło wyklęcie przez żydów, a nawet utrata życia. (Jeśli chrześcijanin skarżył żyda, sprawę sądził sąd pod przewodnictwem podwojewodziego, w którym zasiadali asesorzy-żydzi). Prócz spraw sądowych — kahał sprawował szereg funkcyj administracyjnych.

Waad zajmował się sprawami kultu religijnego, dobroczynności, oświaty, regulował życie gospodarcze żydów (np. prawo o procentach, prawo o upadłościach handlowych, oraz t. zw. prawo chazaki, to jest monopolu eksploatacji pewnych źródeł dochodu, pewnych miejscowości, pewnych osób z pośród chrześcijan, z wyłączeniem konkurencji współwyznawców), rozsądzał spory między kahałami, sprawował sądy, oraz reprezentował ogół żydów wobec państwa polskiego.

Podatki od żydów (pogłówne i podymne) naznaczane były w Polsce ryczałtowo, — uiszczał je wobec władz polskich waad, — on też rozkładał je między ludność żydowską i kontrolował ich pobór, uskuteczniony przez kahały. Dawało to waadowi i wogóle samorządowi żydowskiemu wielką niezależność — i uniemożliwiało ingerencję władz polskich w wewnętrzne sprawy żydowskie.

Waad był instytucją możną, jakiej nie posiadali żydzi w żadnym innym kraju. Pierwowzorem dążeń żydowskich w krajach żydowskiego rozproszenia był starożytny „egzilarchat" w Babilonji, stopniowo wytworzony i uzyskany przez potomków żydów, którzy nie skorzystali z edyktu Cyrusa i z „niewoli babilońskiej" nie powrócili do Jerozolimy. Między innemi i dzisiejsze głośne hasło „autonomji kulturalnej" dla mniejszości narodowych w różnych krajach jest wynikiem tej właśnie żydowskiej dążności. Ale nigdy i nigdzie poza Babilonją nie korzystali żydzi, jak to sami przyznają, z tak rozległego, potężnego i wpływowego samorządu, jak w przedrozbiorowej Polsce.

Samorząd żydowski zaważył na życiu polskiem w sposób złowieszczy dzięki wpływowi, jaki sobie zdobył na polski aparat państwowy.

Przy kahałach znajdowali się syndycy, t. zw. „sztadlanowie", działający pod zwierzchnim kierunkiem waadów. Syndycy ci, wybierani z pośród ludzi, znających język polski i posiadających pewną ogładę, wysyłani byli na sesje sejmików polskich, przysłuchiwali się pilnie ich obradom, baczyli, czy w instrukcjach sejmowych niema postulatów, godzących w interesa żydów. Syndycy generalni udawali się na sejmy walne. Syndycy ci zawczasu starali się wchodzić w porozumienie z posłami sejmowymi i urzędnikami Rzplitej.

O tem, jaką drogą starali się „sztadlani" wpływ swój wywierać, przechowało się wiele ciekawych dokumentów. Na waadzie litewskim 1628 r. powzięto uchwałę: „Na trzy lub cztery tygodnie przed sejmikiem powinni przełożeni krajowi z każdej wielkiej rezydencji rozesłać pisemne wezwanie do przebywających w pobliżu zebrania się sejmiku mężów, by czuwali, aby broń Boże nie postanowiono czegoś nowego i by zaradzili, czemu się jeszcze da zaradzić. Posłom zaś do sejmu, którzy zostaną wybrani, należy złożyć podarunki i prosić ich, aby nam byli na sejmie przychylni".

Oto była droga do przychylności posłów i dygnitarzy — podarunki. Księga protokółów („pinkas") kahału opatowskiego zawiera w dziale rozchodów szczegółowe pozycje datków dla marszałków, wicemarszałków, i posłów sejmiku opatowskiego. W „pinkasie" kahału poznańskiego z 1646 roku figuruje wydatek na sejm i sejmik w Środzie w ogólnej kwocie 1500 złotych polskich. Znacznie większe były wydatki na koszta sejmiku środzkiego z r. 1688 roku. Chodziło o zrzeczenie się przez skarb podwyżki pogłównego o 50.000,— złotych polskich, ustanowionej wzamian za zwolnienie żydów od obowiązku płacenia „podymnego". Wszyscy sztadlani — brzmi notatka w „pinkasie" poznańskim — zarówno z gminy naszej jak i z okręgu, czynili heroiczne wysiłki, by tę rzecz (tj. podwyżkę pogłównego) unicestwić. I Pan Bóg im dopomógł..., lecz nie pomogły żadne skarby by unicestwić podymne". Wydatki na sejmik środzki z 1668 roku wyniosły 8.000,— złotych polskich.

Istniał na Litwie fundusz korupcyjny centralny i fundusze lokalne. Waad z 1628 roku uchwala: „Prezenty, które trzy gminy naczelne składają dygnitarzom przejeżdżającym, gdy się rozejdzie wieść, że odbędzie się sejm walny, a będącym w pobliżu króla... idą na rachunek całego kraju; natomiast prezenty dla posłów na sejm walny i dygnitarzy, wybranych posłami w odnośnym powiecie, mają być pokryte przez gminy same wraz z ich okolicą".

Przy wysyłaniu sztadlana na sejm walny spisywano dokument. W dokumencie takim, sporządzonym w Słucku w 1761 roku zapisano: „Oto znaleźliśmy to, czego dusza nasza zapragnęła, człowieka mądrego i roztropnego, z którego ustkapie mirra, który ma możność i powagę, aby stanąć w pałacu króla i dygnitarzy, by się wysłowić pięknym i kwiecistym językiem".

W XVIII wieku mówiono w Polsce: „Kto za żydami mówi, ten już wziął, a kto przeciw żydom, ten chce wziąć"[3]).

Powyższe fakty wystarczą, jako dowód na to, ile demoralizacji zakradło się w życie upadającej Rzeczypospolitej dzięki żydom.

Jak już powiedziałem wyżej — nie jest to wcale przypadkiem, że upadek Rzeczypospolitej zaczął się równocześnie z zalewem Polski przez żydów.

Nietylko obce mocarstwa zniszczyły Polskę. I nietylko splot okoliczności przypadkowych (szereg wojen, fermenty, wynikające ze zlania się Korony z Litwą itd.), które ją osłabiły wewnętrznie. I nietylko tajne związki, które oplatały siecią intryg jej życie polityczne i dopomagały mocarstwom Polsce wrogim, — a które dążyły do tego, aby Polskę zniszczyć.

Do upadku Polski, a zwłaszcza do poprzedzającego jej polityczny upadek jej rozkładu wewnętrznego, przyczynili się w niemałej mierze swoim bezpośrednim wpływom zamieszkujący Polskę w wielkich masach — żydzi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) „Die Israeliten bildeten nächst dem Adel die angesehenste und mächtigste Körperschaft im Lande" (Darstellung der inneren Verhältnisse und des gesellschaftlichen Zustandes in Polen, Berlin 1832, str. 42).

[2]) H. Graetz „Geschichte der Juden" tom X str. 55.

[3]) Dane o samorządzie żydowskim przepisano niemal dosłownie ze str. 257—261 rozprawy o sprawie żydowskiej, zawartej w dziele Jana Kucharzewskiego: „Od białego caratu do czerwonego" w tomie VI-tym. Mimo, że Kucharzewski stoi jak najdalej od obozu narodowego, a nawet uchodzi za zbliżonego do kół masońskich, rozprawa jego jest jedną z najbardziej pouczających i gruntownych prac o sprawie żydowskiej.



„Z pod Katarzynek" (suchoryt) S. Wojewódzki (V nagroda na konkursie graficznym „Kurj. Pozn.").

(Dokończenie ze strony 1-ej)

nawet grzechem, bo każdy wstępujący w progi więzienia wstępował w nie z obowiązkiem, z przysięgą niewydania niczego. Przysięgę tę tylko powstanie samo rozwiązywało, a żadne inne względy rozwiązać jej nie mogły. Czyż to u człowieka słowo uroczyste, przysięga, złożona braciom i ojczyźnie, nie ma mieć żadnej wartości? Kto ją złamał ze słabości, ze strachu, zbłądził, zgrzeszył, ale darują mu ten grzech, bo nie wszyscy bohaterami, ale kto ją chce złamać z namysłem, w moich oczach podły, głupiec i zdrajca jest..."

Twardo i wyraźnie...

„I my dlatego, że nas połapali zdradzonych przed czasem, mamy wszystko wyśpiewać jak baby? Czemu? Aby się pochelpić przed światem, żeśmy wyżsi nad przysięgę obowiązującą, że ją publicznie nogami depcemy? Czemu? Aby dać i przyszłym pokoleniom hasło, że jak kogo do dziury wsadzą, aby się zaraz jak tchórz do wszystkiego przyznał? Taki to przykład z nas ma być dla współczesnych młodszych braci i dla potomnych? Hańba tym, co tak postępują! Milcz jak mur, to twoja powinność! Zapieraj się, gdy mówić musisz, bo twój obowiązek, bo stoisz przed wrogiem, nie przed ojczystym sędzią, bo ten wróg czyha tylko na twoje przyznanie, aby cię potępić i wyrwać cię ojczyźnie i twoim. I cóż to nam każą robić owi ludzie z zagranicy? Oto przyznaj się, wołają, a potem udajcie się do łaskawości szlachetnego monarchy, on was, skazanych na śmierć lub wieczne więzienie, w dobroci swej ułaskawi! Nie wiem, jak was nazwać, was co nam tak radzicie, bo nie wiem, czy się waszej głupocie, czy waszemu błazeństwu mam dziwić!".

Potem ten skroś uczciwy, rozważny, poważny i głęboko myślący człowiek obywatel wpada już w indygnację:

„Ale, gdy nam radzicie: dajcie się na śmierć skazać dla sławy, a potem żebrzcie wolności i łaski u tego, co wam tę wolność wydarł i was gnębi, — gardzę wami, tchórze doradcy".

Poczem na pytanie, w liście zapewne zawarte, jaką obronę ma pani Konstancja, doradzać synowi Bogusławowi, Libelt odpowiada:

„Matka Polka niech zagrzywa syna, aby szedł na miecze i groty, a nawet na szubienice i rusztowanie, gdy idzie o to, by odkupić kraj kochany; ale Matka Polka niech nie namawia syna, aby jak tchórz podły przysięgę daną braciom łamał i przed nieprzyjacielem przyznaniem się moralnie broń składał, a potem łaski jego żebrał. Może się to zdanie moje Szanownej Pani podobać nie będzie, aleś go Pani żądała. Objawiłem je z całą otwartością, jaką winienem przyjaciółce, którą szanuję i poważam".

Bogusław Łubieński przysięgi nie złamał, nie kajał się przed tak ... przechwalanymi sędziami berlińskimi. A jego matka do króla pruskiego Fryderyka Wilhelma z duserami i sentymentami nie poszła. Rewolta marcowa wywaliła bramy więzienia i męczenników, splugawionych w liście od „burd", „nikczemnych", wypuściła na wolność.

W rok potem czytało się w Trybunie Ludów, że „naród walczący za swoją niepodległość albo za rozwój swych swobód, jest uprawniony uważać za swych wrogów naturalnych wszystkie stare dynastje i wszystkich stronników dynastycznych chociażby najszanowniejszych w życiu prywatnem".

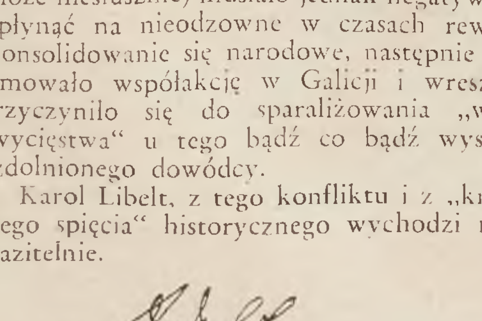
Ale znów w jakiś czas potem, kiedy Zgromadzenie Narodowe Niemieckie we Frankfurcie ofiarowało cesarską koronę królowi Fryderykowi Wilhelmowi, w tejże samej „Trybunie Ludów" (28 maja 1849) ukazał się artykuł tegoż samego pióra wzywający króla do wzięcia tej korony i u f u n d o w a n i a „c e s a r s t w a l u d o w e g o"!... Jak na republikanta enuncjacja też dość niezwyczajna! W każdym razie duże niekonsekwencje!

...No ale D u c e a s e m p r e r a g g i o n e...

Pytanie teraz, czy Mierosławski znał to orędzie Mickiewicza przed swoimi zeznaniami, czy nie znał?... Jeżeli znał i według tych instrukcyj i wskazań postępował, w takim razie część odpowiedzialności z niego za „sypanie" siebie samego i współwięźniów spada.

Przykre jednakże pomyśleć, że atmosfera nieufności w społeczeństwie poznańskiem i o d i u m, z jakiem do niego się odnoszono (może niesłusznie) musiało jednak negatywnie wpłynąć na nieodzowne w czasach rewolt skonsolidowanie się narodowe, następnie zatamowało współakcję w Galicji i wreszcie przyczyniło się do sparaliżowania „woli zwycięstwa" u tego bądź co bądź wysoce uzdolnionego dowódcy.

Karol Libelt, z tego konfliktu i z „krótkiego spięcia" historycznego wychodzi nieskazitelnie.



Stanisław Czapiewski, Poznań

O właściwy kierunek w rozwoju polskiego przemysłu

Polska należy do krajów mało uprzemysłowionych. W tem położeniu, w jakiem obecnie znajduje się życie gospodarcze świata, jest to raczej podstawa dla zdrowego rozwoju, niż oznaka słabości. W dążeniu do rozwoju gospodarczego naszego kraju musimy iść własną drogą, kierując się raczej pragnieniem zaspokojenia swoich wewnętrznych potrzeb, aniżeli ambicją dorównania krajom już zaawansowanym w rozwoju przemysłu.

W dzisiejszych warunkach rozbudowa przemysłu, obliczonego na rozwinięcie w większej mierze naszego wywozu, jest niedorzecznością. Warunki zbytu zewnętrznego artykułów przemysłowych przedstawiają się dla nas coraz mniej korzystnie. Przyczynia się do tego nietylko utrudnione współzawodnictwo z państwami uprzemysłowionemi, ale i coraz bardziej zmniejszające się pole ekspansji handlowej wskutek postępów w rozbudowie przemysłu w krajach, które można było brać pod uwagę, jako naszych odbiorców. W naszym wypadku dotyczy to głównie Rosji, która niegdyś była nader pojemnym rynkiem zbytu dla wytworów naszego przemysłu.

Warunki zewnętrznej wymiany handlowej przytem stale się pogarszają wskutek polityki samowystarczalności państw, coraz ostrzejszej reglamentacji handlu zagranicznego, która w rezultacie doprowadza na drodze kompensacji do wymiany towaru za towar, i to w ograniczonych ilościach.

Zasadnicze nasze dążności winny być zatem skierowane na przystosowanie naszego przemysłu do zaspokajania wewnętrznych potrzeb kraju. To zapewni nam możność osiągnięcia równowagi gospodarczej naszego państwa i normalnego jego rozwoju.

Wiąże się z tem ważne zagadnienie struktury naszego przemysłu. Narodowy pogląd na życie, wychodzące z założenia, że nie naród winien służyć swemu gospodarstwu, lecz gospodarstwo służyć winno potrzebom i dążnościom rozwojowym narodu, — wyznaje zasadę oparcia działalności gospodarczej na możliwie dużej ilości warsztatów wytwórczych, które bezpośrednio służą potrzebom kraju, przez co osiąga się łatwiejszy zbyt i które dają możliwie trwałe oparcie dla utrzymania się jak największej ilości ludzi.

Struktura gospodarstwa narodowego, oparta o średnie i drobne warsztaty wytwórcze, zapewnia nietylko zdrowy rozwój procesów produkcyjnych i równomierną kapitalizację wewnętrzną, ale w pierwszym rzędzie stanowi najwłaściwszą podstawę dla wykorzystania w całej pełni tkwiącej w masach społecznych przedsiębiorczości, energji twórczej, uzdolnień i wartości indywidualnych, które ujawniają się w warunkach samodzielności i niezawisłości.

W takiej strukturze stosunek człowieka do pracy jest przytem o wiele właściwszy. Tam, gdzie człowiek jest tylko uzupełnieniem maszyny, narzędziem procesu produkcji, a nie jest kierownikiem i panem, trudno o wydobycie z człowieka wszystkich jego zdolności i możliwości twórczych. Podniesienia poziomu produkcji, wejścia na drogę różnorodności wymogów i potrzeb, jest przy takiej strukturze wytwórczości jedynie możliwe.

Oczywiście, stwierdzenie konieczności rozdrobnienia przemysłu zarówno ze względów społecznych, jak i gospodarczych, nie przesądza zgoła kwestji istnienia i rozwoju przemysłu wielkiego. Są dziedziny produkcji, których średni, a tembardziej drobny przemysł realizować nie może. Parowozów i wagonów kolejowych nie będą mogły wytwarzać drobne warsztaty wytwórcze, oparte z reguły o niewielkie kapitały i nieposiadające nawet odpowiednich i zazwyczaj bardzo kosztownych środków produkcji. Podobnie rzecz przedstawia się z niejedną dziedziną wytwórczości. Można nawet stwierdzić, że w Polsce jest jeszcze sporo pola dla rozwoju wielkiego przemysłu, co nie upoważnia oczywiście do skierowania wysiłków w tym jedynie kierunku.

Są jednak dziedziny, w których przemysł większy jest zbędny, a nawet szkodliwy, niszcząc liczne, samodzielne mniejsze warsztaty wytwórcze zabójczą konkurencją, opartą na przewadze finansowej. Tam, gdzie w normalnych warunkach drobne i średnie warsztaty wytwórcze wytrzymują jako tako konkurencję większych zakładów, należy dać pierwszeństwo tym drobnym i średnim warsztatom. Dla przyszłości bowiem i społeczeństwa i samego gospodarstwa ważniejszą jest kwestja społeczna, kwestja utrzymania bytu i rozwoju sił społecznych narodu, aniżeli kwestja powodzenia takiej, czy innej jednostki przemysłowej.

Świadome i celowe kierowanie wysiłków gospodarczych na tę drogę umożliwi likwidację największej tragedji społecznej naszych czasów, wyrażającej się w masowem bezrobociu, niszczącem siły fizyczne narodu i podkopującem jego byt gospodarczy. Ruch narodowy, zwracając przedewszystkiem uwagę na konieczność upowszechnienia warsztatów wytwórczych, dąży tem samem do uruchomienia wszystkich sił produkcji, tkwiących w samem społeczeństwie, a na tej drodze do podniesienia bogactw w całym kraju, we wszystkich warstwach narodu.

W zagadnieniu przemysłu i jego pomyślnego rozkwitu nie podobna pominąć jednego kryterjum, które wydaje się nam dla przyszłości całego gospodarstwa narodowego decydującem. Jest to kryterjum polskości przemysłu.

Potrzebna tu jest świadoma postawa całego społeczeństwa i wyraźne ustosunkowanie się państwa do tego problemu. Wobec obcego kapitału, biorącego udział w krajowej produkcji, trzeba zachować dużą ostrożność. Przemysł polski jest jeszcze dość młody, finansowo nie dość silny, — wymaga zatem poparcia ze strony społeczeństwa i rozumnej opieki i ochrony jego interesów ze strony państwa.

Ruch narodowy, tak stawiając problem przemysłu w całokształcie naszego życia gospodarczego, jest przeświadczony, że wybrał słuszną drogę do uzdrowienia naszego życia gospodarczego i otoworzenia mu może mało efektownych, lecz zato pewnych i trwałych dróg rozwoju.

Luceoriensis, Lublin

Kwestja ukraińska

(Uwagi).

Dwa kierunki ujmują nasze stanowisko do mniejszości ruskiej. Jeden z nich, dziś górujący, stoi na stanowisku kompromisu, widzi w wprzągnięciu Ukraińców w rydwan państwowości polskiej drogą ustępstw i koncesji — jedyne wyjście z sytuacji. W swej krótkowzroczności czyni szereg ofiar z ambicyj narodowych, zmniejszając stale i konsekwentnie nasz stan posiadania w Małopolsce Wschodniej i na Wołyniu, tak pod względem materjalnym, jak i kulturalnym.

W miarę chwiejności, idącej po przez etapy pacyfikacji w r. 1930, aż do uposażeń emerytalnych b. wojskowych ukraińskich, (którzy walczyli przeciwko Polsce w latach 1918/19) w roku 1934*), apetyty z tamtej strony rosną w postępie geometrycznym.

Strzały śmiercionośne, wymierzono w pierś Hołówki i Pierackiego, nie otworzyły niestety oczu. Dzisiejsza polityka wewnętrzna, zasugestjonowana jakimś niewytłumaczonym mirażem, nie może zejść ze ślepego toru i przyznać się śmiało do błędów. Mija 17 lat gorzkich doświadczeń i eksperymentów. Sytuacja za ten okres wypada dla nas w bilansie ogólnym ujemnie.

Tymczasem niebezpieczeństwo ukraińskie staje się coraz bardziej groźne, do czego się jeszcze przyczynia zwartość obszaru, zamieszkałego przez ten element, jak i szybkość procesu rozbudzenia narodowego, ogarniającego masy (akcja „Proświty", „Ridnoj Chaty" i znakomicie zorganizowanych spółdzielni). Nie wolno lekceważyć tych rzeczy. Zbyt często tworzymy na piasku. W budownictwie własnego państwa i umacnianiu jego zwartości nie może być iluzyj, jako idei kierowniczych. Muszą istnieć kryterja zdeklarowane i z żelazną konsekwencją przeprowadzone. Te dane dają do ręki cyfry statyczne, bezwzględne, jak prawda.

Prócz tego trzeba do tych cyfr podejść pod kątem interesu narodowego, pod kątem niezachwianego postulatu, że tylko my, Polacy, jesteśmy w kraju gospodarzami — i tylko w ich imię i na ich rzecz każde posunięcie państwa jest zamierzone i obliczone. Wtedy liczby nabiorą rumieńców życia.

Cały ciężar rozwiązania właściwego sytuacji spoczywa na obszarze województwa tarnopolskiego plus powiaty: Sokal i Rawa-Ruska (z województwa lwowskiego), Hrubieszów i Tomaszów (z Lubelszczyzny) i Włodzimierza (z Wołynia). Najniższa gęstość zaludnienia, spotykana na wskazanym terytorjum, obejmuje powiaty: Brody, Radziechów i Kamionka-Strumiłowa (od 15 do 50 mieszkańców na 1 km²). Ponadto napotykamy tutaj kilka wysp o dużem natężeniu zaludnienia, a mianowicie koło: Złoczowa, Zborowa, Trembowli, Czortkowa, oraz we wschodniej połaci powiatu Zbaraż, nad granicznym Zbruczem (rejony Nowego-Sioła i Toków), przekraczających 100 mieszkańców na 1 km². Na reszcie zaś opisanego obszaru gęstość waha się od 50 do 100 ludzi na 1 km².

Omówiwszy w krótkim rzucie kwestję gęstości zaludnienia, przejdziemy z kolei do zilustrowania sytuacji wielkiej własności na tym terenie. Wielka własność w stosunku do przestrzeni powiatów wykazuje następujący procent: Hrubieszów — 29,2 proc., Tomaszów — 26,7, Włodzimierz — 43,4, Rawa-Ruska — 30,5, Sokal — 34,9, Radziechów — 30,9, Kamionka-Str. — 29, Brody — 37,5, Złoczów — 23,3, Zborów — 24,6, Przemyślany — 20,6, Brzeżany — 35,5, Tarnopol — 28, Zbaraż — 22,6, Podhajce — 17,4, Trembowla — 28,2, Skałat — 31,1, Buczacz — 33,3, Czortków — 39,2, Kopyczyńce — 40,3, Zaleszczyki — 43,6, Borszczów — 37,6.

Z tego zestawienia wynika jasno, że posiadamy na tym terenie idealne wprost warunki dla p r z e p r o w a d z e n i a r e f o r m y r o l n e j — z tym zasadniczym warunkiem, że na miejsce parcelowanych latyfundjów wyrosną wyłącznie wsie osadnicze polskie, do których element zostanie sprowadzony z regjonów przeludnionych, gdzie sytuacja gospodarstw karłowatych doszła do zenitu beznadziejności (np. powiat Wadowice w województwie krakowskiem posiada przeciętnie na 100 km² 2.245 gospodarstw niesamowystarczalnych).

Obecnie trudności wykupu nie stanowią bezwzględnego szkopułu. Wielka własność zadłużona powyżej częstokroć wartości objektów (rzecz notoryczna) przechodzi drogą licytacji za marny grosz w ręce mniejszości — jak w interesujących nas okolicach w ręce żydów i zorganizowanych Rusinów. Można tedy zadać pytanie w interesie nie zmniejszania polskiego stanu posiadania — dlaczegożby państwo nie mogło mieć pierwszeństwa w przejmowaniu tych dóbr?

I dopiero państwo, z zastrzeżeniem niepodzielności (jako jednostkę należy przyjąć gospodarstwo rolne od 10 do 15 ha) i nie zbywalności — oddawałoby ziemię osadnikowi na 40-letnie spłaty, względnie w emfiteutyczne władanie. Poco ta dość skomplikowana operacja? Odpowiedź prosta — by p o d n i e ś ć ż y w i o ł p o l s k i na tym obszarze do 60 proc., p o ł ą c z y ć rozproszone enklawy z naszym terenem etnograficznym w Lubelskiem. Stworzyć podstawy wieczyste dla Polaków na tych ziemiach, by żadne dziejowe wstrząsy w przyszłości nie mogły nas stamtąd wyrugować.

Jednocześnie rozpoławiamy zwarty masyw ruski. Ruski Wołyń zostanie oderwany od Gorgan, Bieszczad, Czarnohory i doliny Dniestru, a te ostatnie okolice od ruskiego Podola sowieckiego. Żadna irrydenta nie będzie straszna, boć silny klin elementu polskiego będzie czuwał na straży z pewnością mocniej niż obrona potoczna i dawne szacowne fortalicje.

Im prędzej przyjdzie do realizacji naszkicowanego planu, tem spokojniejsza będzie Rzeczpospolita o swą c a ł o ś ć i z w a r t o ś ć.

*) Obacz „Dziennik Ustaw R. P.", Nr. 18/34, poz. 141.

NA MARGINESIE

Są dwa tragizmy i dwa humanizmy

Pod tytułem „Smok apokaliptyczny" wypowiada redakcja „Zetu" (nr. 12) swe obszerne uwagi i refleksje z mojego artykułu o „Walce z bezideowością" („Głos", nr. 11). Zreferowawszy główny tok moich myśli, obficie je cytując, „Zet" tak m. in. pisze:

„Tragizm tej „walki z bezideowością", do której nawołuje Rogalski, znamy doskonale. Od lat borykamy się z tym bezwładem twórczym, napotykając wszędzie palec wskazujący, wymierzony przeciwko nam z pogardliwem „apage": doktrynerzy! Przeciwko idei, przeciwko doktrynie wysuwają wszak nasi oponenci wciąż to wieloznaczne, nieokreślone życie, jedyny dogmat, w jaki wierzą i na jaki się bezkrytycznie powołują. Wskazywaliśmy już nieraz na to przeciwieństwo Biosu i Logosu, w którem ów migotliwy i bezkształtny witalizm, rozlewający się galaretowatemi mackami smoka chińskiego, próbuje zdusić w swych oplotach świadomy siebie r o z u m t w ó r c z y, opancerzony wolą i wsparty kręgosłupem określonego systemu pojęć. To walka biosu z logosem, anarchicznego witalizmu z ideą, jest w gruncie rzeczy walką irracjonalizmu z rozumem Tutaj mamy tragiczny dylemat epoki. Ostatecznie cały żywot jednostkowy i cały przebieg historii da się sprowadzić do tego dylematu; nigdy jednak nie zarysował się on z taką jaskrawością, jak dzisiaj..."

Dla akcji i światopoglądu „Zetu" mamy duży szacunek. Bo wiemy, że „Zet" jest aktem w i a r y i wyrazem szczerej, własnej, odrębnej ideologji. Czujemy się jednak w obowiązku wyznać, że tragizm jaki znają głosiciele i wyznawcy filozofji Wrońskiego nie wyczerpuje całkowicie tragizmu „walki z bezideowością". Ten drugi tragizm jest, gdyby tak można powiedzieć, szerszy i głębszy. Bardziej właściwe wymiary nadaje mu owo w pojęciu Brauna „przeciwieństwo Biosu i Logosu".

Rzecz wszakże idzie o to, że ten Logos, który „Zet" przeciwstawia Biosowi, owemu irracjonalnemu żywiołowi, jest niewspółmierny co do siły i jakości z swym wrogiem. Bo jest mało eruptywny, cechuje go ograniczoność (nie ograniczenie!), immanentny, organiczny izolacjonizm. Doktrynerzy! — w tem niestety coś jest, dlatego przeciwnicy „Zetu" mają zbyt łatwą z nim walkę.

Postawa „Zetu" nasuwa analogję do postawy modernistycznego estetyzmu. W istocie mamy tutaj w miejsce koturnowości sztuki — koturnowość świata etycznego, koturnowość myśli publicystycznej. Ta koturnowość wypływa być może z niedostatecznego zrozumienia dla natury Biosu, a przedewszystkiem dla jego konkretnych przejawów. Bo wydaje nam się, że Logos chcąc ujarzmić Bios, musi mieć coś z Biosu, coś z jego energetyzmu, dynamiki, ekspansywności, potęgi. U Jerzego Brauna i jego współdziałaczy jest jakby n i e m o ż n o ś ć w y j ś c i a z s i e b i e. Czy ta niemożność wypływa ze słabości, czy też jest nieodzowną cechą wszystkich oryginalnych ideologów — to sprawa inna. Ale ona rodzi mniemanie, jakoby u Zetowców było więcej miłości własnej doktryny, własnego światopoglądu, własnego sformułowania pewnej treści duchowej, mniej zaś troski o najważniejsze elementy wszelkiego wyznania — o życiowe losy idei, warunki, byt, o czynną realizację, m n i e j m i ł o ś c i p r a w d ż y w y c h.

W ten sposób dochodzimy do najważniejszego stwierdzenia: Tragizm grupy „Zetu" to tragizm prawd, którym nie dano warunków biologicznych lub którym je w pewien sposób odebrano. Tragizm Massisów zaś to tragizm p r a w d ż y w y c h, które chcą wcielić się w kształty życia, lecz życie, życie współczesne, wzbrania im tego. Tamten to tragizm istoty osłabionej, wątłej, skazanej p r z e z t o na bierną egzystencję — ten tragizm istoty silnej, skazanej m i m o t o na atrofję, na martwość. Obydwa łączy jednaki, negatywny korelat Biosu, lecz pozatem jakże wiele jest w nich różnic!

*

Na koniec jedno wyjaśnienie. „Zet" pisze: „W stosunku do artykułu Rogalskiego wysunąć można tylko to jedno zastrzeżenie: fałszywa interpretacja współczesna pojęcia „pełni człowieczeństwa" bynajmniej nie dyskwalifikuje ideału: c z ł o w i e k. Uniwersalny humanizm nie zna z pewnością nic wspólnego z „światowidową postawą" Gide'a. Świat może być pojmowany nietylko jak kupa rupieci i smakołyków, w których los pozwolił nam grzebać, lecz również jako harmonijny całokształt celów i obowiązków, jako nasze zbiorowe d z i e ł o t w o r z o n e. Wchłonąć w siebie świat, ale poto, aby go poddać kierownictwu idei, twórczego rozumu, aby go s p e ł n i ć: oto ideał i posłannictwo człowieka przyszłości, c z ł o w i e k a t w ó r c z e g o".

Otóż zgadzamy się całkowicie z temi myślami. Nie dyskwalifikowaliśmy przecież ideału „człowiek". Nie możemy jednak nie przyznać, że życie współczesne, takie jakie jest, to produkt kultury humanistycznej. Gide nie jest zjawiskiem osobnem, odrębnem, z wspólnego wyrósł podłoża, stał się tylko przypadkowym jego reprezentantem. Gide'ow jest legjon. A legjonowi na imię uniwersalny humanizm, który ma jednak dużo wspólnego z światowidową jak się wyraziłem postawą. Nie będziemy tutaj przytaczać argumentów i chociażby tylko z życia literackiego, dzisiejszego, bo są to rzeczy zbyt oczywiste. Wiem, jaki humanizm ma na myśli „Zet". Niestety, nie on nadawał i nadaje ton współczesności. Rzeczy poszły inną koleją. Dla tego humanizmu Brzozowskiego, humanizmu przyszłości — twórzmy i pracujmy.

ALEKSANDER ROGALSKI, POZNAŃ.

ALEKSANDER KOŚMIŃSKI, LWÓW

Z TEATRU

„Rewizor" na scenie lwowskiej.

Teatr Wielki we Lwowie wystawił premjerę świetnej komedji N. W. Gogola, sławnego „Rewizora". Czyn pełen odwagi i zasługi. Koncepcja autorska w komedji tej jawi się widzowi, jako tęgi policzek wszystkiemu temu, co płaszczy się bezkrytycznie przed wszelką emanacją władzy oficjalnej, co żeruje na przemocy reprezentowanej przez jej aparat administracyjny, co z mocy rozkazywania uczyniło wreszcie narzędzie osobistej karjery i osobistych „porachunków".

Krok to naprawdę, w dobie współczesnej, obywatelski. Zwłaszcza, iż reżyserja na ogół odpowiadała wcale dokładnie tendencji utworu w wyrazie estetycznym i w zarysie satyryczno obyczajowym. Z grających Guttner — jako horodniczy — nieco za patetyczny (timbre głosu raczej do ról nastrojowych), w masce za to i w gestach przeważnie bardzo dobry. Chlestakow (p. L. Pośpielowski) w masce i w opracowaniu dykcji okazał zamało inwencji, chociaż miał miejsca godne najwyższych pochwał. W grze zdolny ten aktor bardzo nierówny, okazał niekonsekwencje w akcentowaniu charakteru swej roli. Dał zadużo birbanta, zamało filuta i okpigrosza. Za to jako błagier był znakomity. Typ donżuana dobry.

Panie H. Krzywicka i H. Łęcka w rolach żony i córki horodniczego wystąpiły jako dwa typy, że paluszki lizać, choć chwilami zanadto grały nerwami, szarzowaniem wokalnych podkreśleń komizmu odruchów. Wzamian w stroju (oprócz Chlestakowa) najlepsze. Zespół wspólników horodniczego i jego zauczników pełen poświęcenia w grze, zgrany bez zarzutu, na czem całość zyskała ogromnie. To zgranie bezosobiste zespołu i partje komicznych par, poza dwoma głównemi rolami, dały scenie najwięcej dynamiki w komiźmie gry i wydobyło w lwiej części jej walory humorystyczne.

Z drugorzędnych ról miłym był p. Machalski, dając precyzyjną w każdym momencie, sympatyczną postać służącego starej daty. P. Przystawski, jako kelner małomiasteczkowego zajazdu, sekundował mu w granicach swej skromnej roli bardzo poprawnie, stworzywszy doskonałą w rysunku postać.

Panowie Składanek i Połoński w trudnej swej roli mieli parę partyj słabszych, które opanowaniem ról dadzą się łatwo usunąć. Ziemlanik niezapomniany jako „zlizywacz pańskiej śliny" i obłudny do szpiku kości donosiciel. Lapikin-Tiapkin (poczmistrz — p. W. Kaczmarski) maskę degenerata, alkoholika i złodzieja cudzych tajemnic kolorystycznie nieco przesadził, natomiast w swej głównej partji z listem Chlestakowa miał momenty z najwyższych kategorji scenicznej ekspresji. Korobin i Uchowiertow (panowie A. Ptaszkiewicz i St. Jaśkiewicz) reprezentują duży talent sceniczny. Z reszty jedynie podoficerowa w głosie za mało opanowana jakkolwiek w plastycznym wyrazie swej roli poprawna.

Ogólnie biorąc wieczór naprawdę wesoły, z głębszym podkładem aktualności w nieśmiertelnem uchwyceniu komizmu ludzkich podłostek.

MARJAN ŁEBKOWSKI, POZNAŃ

Z OPERY

IV. koncert symfoniczny. — Jeszcze o „Halce" i operach moniuszkowskich.

Rewelacją wieczoru był występ młodej, nieprzeciętnie utalentowanej duńskiej pianistki, p. France Ellegaard. Zarówno technika jej gry, jak i zdolności interpretacyjne pozwalają przypuszczać, że w krótkim czasie artystka zdobędzie ogólnoeuropejską sławę i stanie na najwyższym poziomie wirtuozostwa. Gra jej, pełna wysokiej kultury i logicznego, konsekwentnego ujęcia poszczególnych fragmentów całości, posiada w sobie tyle uczucia i prostoty, że mimowoli słuchałoby się koncertu bez wytchnienia, pragnąc jaknajdalej przedłużyć czas jego trwania.

Pianistka wykonała z towarzyszeniem orkiestry koncert g-moll Saint-Saens'a, uwypuklając jego piękno w każdym z poszczególnych fragmentów, a zwłaszcza w „Andante sostenuto" i „Praesto", które wymaga niezwykłego opanowania instrumentu oraz precyzyjnego operowania pedałami.

Orkiestra, kierowana wytrawną ręką prof. Nowowiejskiego, wytężyła całą swą umiejętność, by godnie zaprezentować niepospolite dzieło francuskiego kompozytora.

IIIa symfonja Poradowskiego oraz Koncert na orkiestrę Szeligowskiego, (wykonany po raz 1-y), spotkały się ze szczerem uznaniem słuchaczów dzięki niezwykle starannemu i umiejętnemu przygotowaniu orkiestry, oraz oryginalnej i kunsztownej, nawskroś nowoczesnej harmonizacji. Tematy, — bardzo ciekawe, jeśli chodzi o jednego, jak i drugiego kompozytora, — pozwalają wnioskować, że oba młode talenty twórcze osiągną w niedalekiej przyszłości własną, swoistą formę, by przysporzyć polskiej literaturze muzycznej niejedno jeszcze wartościowe dzieło.

W zakończeniu koncertu symfonicznego odegrano „Wesołe kumoszki z Windsoru" (uwerturę Nicolai'a). Całość prowadził niestrudzony profesor Nowowiejski, któremu publiczność zgotowała gorące, jak zwykle, przyjęcie. Obu kompozytorów oklaskiwano serdecznie.

Tegoroczne doświadczenie wykazuje, że wznawianie moniuszkowskiej „Halki" napotyka na serdeczną wdzięczność ze strony naszego społeczeństwa, dowodem czego jest stale wypełniona sala teatru, oraz „bisowanie" najpiękniejszych momentów tej narodowej opery.

Obok nieśmiertelnej „Halki" należałoby ponawiać wystawienie „Strasznego dworu", „Hrabiny", „Flisu" i „Verbum nobile", które również zasługują na to, by zajmować poczesne miejsce w stałym naszym repertuarze, a — jako opery narodowe, mające wielką wartość artystyczno-dydaktyczną, są zawsze nieocenioną strawą duchową dla najszerszych warstw społecznych.

Pod światło...

Nowe marjaże

„Z chaosu powstał świat" — powiadają sobie starzy kombinatorzy i geszefciarze polityczni, karmiąc się smakowitą nadzieją, że to oni i dla siebie ten świat stworzą.

Co za ruch, co za szum, co za krzątanina!... Któżby przypuścił, że w starych kościach tyle jeszcze werwy i wigoru, że zramolałych panów wiew innej atmosfery uzdrowi z artretyzmu i sklerozy... Kto wie, na jak długo? Ale narazie czują się lepiej — żwawsi i ruchliwsi. W swoim żywiole. Jak gdyby przeżywali powtórnie swoją młodość. Tyle marzeń, ongiś niezniszczonych, tyle nadziei, zdawałoby się — na zawsze pogrzebanych odżywa i budzi się na nowo.

Niedziałkowski myśli o pozyskaniu serca Moraczewskiego, z którym się był poróżnił i rozszedł. Rataj ma nadzieję gospodarzyć nietylko w „Piastowej" zagrodzie, ale i zawładnąć chudobą N. P. R.-u. A pan Kot zamierza na swoją ścieżkę sprowadzić wszystkie inne „koty", które dotychczas chodziły swojemi własnemi drogami.

Wszystko to dzieje się według piosenki:

„Zjadł piesek kanarka,
Kanarek — niedźwiedzia,
Niedźwiedź — salamandrę,
Salamandra — śledzia."

Będzie z tego stęchły gulasz klasowy z masońską papryką. (sc).

„Listy z Ameryki"

(Na marginesie wyprawy zamorskiej Slonimskiego).

Słonimski ma swoją urzędowo opatentowaną markę w literaturze, swój styl (k)pionierski, swoje k(r)oniki tygodniowe („na koń, na koń! na bułany koń!"), swoich wyznawców, swoją fizjognomję i krew, chrześcijańskie imię i polskie nazwisko. Wszystko to razem wzięte, tworzy efektowną i „wiadomościową" całość i kombinację a la mode obliczoną na business i zachwyty ze strony „rozkudłanej towarzyszki Zajdkin z Łodzi czy Moskwy".

Popłynął był tedy odnośny Słonimski do Ameryki, ściślej do Nowego Yorku, jako rodak o wartościach reprezentacyjnych i dobrowrażeniowych, aby Polakom na obczyźnie zawieźć słowo pokrzepiające, i jako dziejopis pierwszej podróży nowego polskiego statku „Piłsudski" z Gdyni do Ameryki.

Kto go tam prosił, kto go wysyłał — o tem historja wyprawy nie wspomina. Widocznie pływał z własnej i niewymuszonej woli, i z własnych a nie reprezentacyjnych funduszów. Słowem był, oglądał, bez żadnych mistyfikacyj wszystko szczegółowo zanotował i wrócił nam szczęśliwie na „Ojczyzny łono", przysparzając literaturze kilka „Listów z Ameryki" i kilkanaście „zdjęć autora" sztuce fotograficznej. Okazuje się, że jest to człowiek do wszystkiego zdolny.

„Zdjęciami autora" nie będę się specjalnie zajmował, bo nienadzwyczajne, jedyną nadzwyczajnością byłoby to, że sam autor raczył się fatygować, mając czasu niedużo i mnóstwo podobnych „widokówek" na miejscu gotowych i do nabycia, widocznie względy „copyright by A. Słonimski" grały rolę.

Czy można brać serjo „Listy z Ameryki"? Można, jeżeli chodzi o pewne specyficzne nastawienie autora do Polaków, o poniżanie ich na każdym kroku, na obu półkulach, jak można to teraz powiedzieć, precyzowane zręcznie, tak niby nawiasowo, od niechcenia i za parawanikiem literackiej formy, a z wyrafinowaniem obliczonem na aplauz u „koleżków" i tam, gdzie się obmyśla metody gangrenowania duszy polskiej i kultury.

Te ustępy z „Listów" mają znaczenie nie, jeśli chodzi o prawdę w nich zawartą, bo ta jest więcej niż wątpliwą, ale jako jeszcze jeden więcej dokument naszej tolerancji dla ludzi, którzy zdają się nie rozumieć, że są pewne granice i terytorja na które „obcym wstęp wzbroniony".

Znalazł się np. autor w sądzie dla nieletnich i niezmieszkał śpiesznie się poinformować:

Jaki jest procent Polaków wśród małoletnich przestępców? — Niestety, zajmują jedno z miejsc czołowych (otrzymał odpowiedź) i zaraz z satysfakcją zaznacza: „Murzyni są naogół uczciwi". (Charakterystyczne zestawienie: Polacy i murzyni).

Według informacyj autora Polacy w Ameryce z polskich literatów znają tylko Słonimskiego, („Znajduje w dziale polskim wszystkie prawie moje książki") Wittlina, Zegadłowicza (wiedzą, że „wykropił ostrą powieść") i „czasem jaki ksiądz kupi książkę Boya, i to wszystko", a „kilkadziesiąt osób tygodniowo przychodzi do bibljoteki specjalnie dla „Wiadomości Literackich".

Autoreklama aż do nieprzyzwoitości. Jeśli chodzi o religję, to autor w tę stronę takie kieruje powiedzonka:

„Gdy niema dość przestrzeni na wybudowanie trzech czy czterech kościołów, dobrym interesem jest zbudowanie jednego kościoła i wynajmowanie na godziny. Jest to b. pożyteczne dla ludzi, którzy nie mogą się zdecydować w wyborze religji. Można sobie pójść na cały dzień, wziąć parę sandwichów do kieszeni i wybrać rytuał najbardziej odpowiedni".

Itd. Słowem „Listami z Ameryki" może zachwycać się cała sfora piesków (rasy Promenadenmischung) przysmyczonych do „Wiadomości Literackich" i do „jetztreżimu" — Słonimski cymes! i kolega niezawodny, „autoczłowiek" i auto-rytet rytuału, fahter Knickerbocker w wydaniu na Polskę!

— — — — — — — — — —

Zacytuję tu całej „słonimszczyźnie" ustęp z „Buntu" Konstantego Dobrzyńskiego, by dać wyraz moim uczuciom jakie do niej żywię:

...„Zakląć tak siarczyście, z serca, po sarmacku
splunąć w garść, kułaki zacisnąć
i buntem roziskrzonym we ślepia im błysnąć,
runąć na przekór wszystkim i wszystkim na złość
ławą —

grzmotnąć chropowatą prawicą o stół,
aż się rozlegnie po Karpatach cios
i huknie:
d o ś ć !
My mamy głos".

— — — — — — — — — —

Panie Słonimski, pamięć o panu nigdy nie zagaśnie! Zeit bringt Rat.

J. TOM, POZNAŃ.

W nakładzie

B I B L J O T E K I „G Ł O S U"

ukazały się prace:

Prof. dr. K. Stojanowski: „Rasizm przeciw Słowiańszczyźnie". Cena 5,— zł. Dr. St. Celichowski: „Wyprawa zbąszyńska". Cena 2,50 zł. „Jak rozwiązać kwestję żydowską?". Cena 0,50 zł.

Do nabycia we wszystkich księgarniach i w administracji „Głosu".

OD ADMINISTRACJI.

Prenumeratę za pismo prosimy przesyłać za pośrednictwem przekazów rozrachunkowych, które są do nabycia na każdej poczcie. Ten sposób przekazywania jest bezpłatny.

„Głos" zamawiać można we wszystkich urzędach i agencjach pocztowych.

Na żądanie wysyłamy egzemplarze okazowe.

Hernes wznowił „Stratosferę"

Życie akademickie poznańskiego środowiska akademickiego stało się ostatniemi czasy monotonne i nudne. Zanik beztroskiego humoru i frywolnej wesołości dał się szczególnie zauważyć w Nowym Domu Akademickim od chwili kiedy wyniosła się stamtąd najweselsza pod słońcem „Stratosfera".

Zasługi tego kapitalnego klubu literacko-artystycznego są bezsprzecznie wielkie i to nietylko dla samej studenterji, ale również dla szerokich mas społeczeństwa poznańskiego. Ocenić je można było zwłaszcza wtedy, kiedy „Stratosfera" zamilkła.

Ileż to niezapomnianych wieczorów zawdzięczamy temu nieprawdopodobnemu zespołowi szyderców, którzy patrzą na świat i ludzi zgoła niepojętem okiem kpią w żywe oczy z tak zwanego porządku rzeczy i do wszystkiego, co wielkie i małe, odnoszą się z jednym serdecznym, ariostycznym uśmiechem.

Takim jest przedewszystkiem Tadeusz Hernes. prezes wielkiej „bandy" humorystów, satyryków, a nawet doskonałych muzyków - kompozytorów i śpiewaków. Niewątpliwie największy kpiarz Wielkopolski, zawsze formalnie „zabity" szampańskim humorem i satyrą, któremi jak z rogu obfitości improwizował na wieczorach „Stratosfery". Niezapomniane są jego wspomnienia wojskowe, opowiedziane tak niby od niechcenia w wielkim cyklu pt. „Moje boje".

Zyskały one mu szeroką popularność w całej Polsce do tego stopnia, że opowiada się je szczególnie w sferach wojskowych, jako przezabawne przygody polskiego Szwejka.

W dn. 20 bm. odbył się przy wypełnionej sali Nowego Domu Akademickiego pierwszy występ wznowionej „Stratosfery". — Wypadł on pierwszorzędnie. Hernes przeszedł siebie. Dzielnie sekundowali mu: p. Tadeuszówna, Laurentowski, Dzięgielewski i Kardaś. Na wstępie wieczoru przemawiał prezes Bratniej Pomocy U. P. Słanina.

Jako nowy talent recytacyjny i satyryczny zaprezentował się na wieczorze „Stratosfery" Zenon Laurentowski. Jego „Konkurs na posadę" spotkał się z przychylnem przyjęciem.



Zenon Laurentowski w karykaturze.

Konkurs na posadę

Różne między ludźmi krążą plotki, rady
Jak w najprostszy sposób dorwać się posady...

— — — — — — — — — —

Po skończeniu różnych egzaminów, kursów,
Kandydaci zwykle stają do konkursu.
Więc na wstępie lekarz wzrost wymierzy, zbada,
Żeby człek wyglądał dobrze w defiladach.
Wzrok musi być bystry, węch wysubtelniony,
Żeby wyczuć z jakiej wietrzyk wieje strony.
W ruchach nie za wolny, nie za bardzo szybki,
Za to w pacierzowym stosie dosyć gibki.
Język trzeba umieć trzymać za zębami
I na świat przez palce spoglądać czasami.
Z historji nie trzeba pamiętać zbyt wiele;
Troszkę o Słowianach, Jadwidze, Jagielle...
Kto to był Kościuszko, Rejtan i Batory?...
Jak organizować należy wybory?...
Jeżeli ktoś umie jeszcze troszkę śpiewać,
Bezpłatnej praktyki może się spodziewać.

— — — — — — — — — —

Lecz jeżeli konkurs sprawia mu subjekcje
To jest inny sposób — prosty... przez protekcję.

ZENON LAURENTOWSKI.

Czasopisma i książki nadesłane

„Zet" Nr. 11: „Mocarstwowość a posłannictwo", „Sed cum venerit Paracletus..." Jerzy Braun, „Pogadanka o niektórych sprawach abisyńskich, włoskich, europejskich i wogóle ludzkich" K. L. Koniński, „Problemy kolorowe" — „Nauka Buddhy" Konstanty Re'garney, „Jak wieczór..." Atanazy Fiet, „Milczałem długo..." Ruryk Iwniew, „Żagiel" Michał Lermontow, „Rzeczywistość a logika" K. Homalaes, „Teatr czy dramat" Tadeusz Kudliński, „Wawrzyny... wawrzyny...", „Rocznik literacki", B. Borkowski — „Smok apokaliptyczny", „Oblicze świata", „Książki i czasopisma".

„R u c h k a t o l i c k i", organ Akcji Katolickiej w Polsce, Nr. 11. Treść: „Eugenika w świetle zasad chrześcijańskich" Ks. Dr. Władysław Wicher, „Stanowisko i rola ojca w rodzinie" Leon Błaszczyk, „Rekolekcje dla początkujących II." Ks. Dr. Stefan Abt, „Tego co do mnie przychodzi nie wyrzucę precz" Marja Kępińska, „Hieronim Jaegen — świątobliwy dyrektor banku" Rolita, „Film a moralność" W. Sob., Z piśmiennictwa, Kronika.

CZESŁAW LECHICKI: „Przewodnik po beletrystyce". Poznań, 1935. Str. 414.

WŁ. J. GRABSKI: „Kłamstwo". Księgarnia św. Wojciecha. Poznań, 1935. Str. 396.

STANISŁAW KASZNICA: „Rozważania". Księgarnia św. Wojciecha. Poznań, 1935.

J. E. GEORG: „Z tajników pożycia małżeńskiego i jego społecznych powikłań". Księgarnia św. Wojciecha. Poznań, 1935.

Adres Redakcji: Poznań, św. Marcin 65. Konto P. K. O. 201 410. Adres Administracji: Poznań, św. Marcin 65.

PRZEDPŁATA (wraz z przesyłką): miesięcznie 0,70 zł, kwartalnie 2,— zł, półrocznie 4,— zł, rocznie 8,— zł.

CENY OGŁOSZEŃ: cała strona — 240 zł, ½ strony — 130 zł, ⅓ strony — 90 zł, ¼ strony — 70 zł, ⅛ strony — 40, zł, 1/10 strony — 30 zł.

Przedstawiciel redakcji w Łodzi — Konstanty Dobrzyński (Piotrkowska 91), we Lwowie — Aleksander Kośmiński (św. Zofji 50), w Krakowie — Jan Bielatowicz (Uniw., Coll. Novum), w Wilnie — Stefan Łochtin.

Rękopisów nie zwraca się.

Rękopisów nie zwraca się.

Redaktor naczelny i wydawca: Jan Wyganowski. Red. odpowiedzialny: Władysław M a c i ą g, Poznań.

Czcionkami Drukarni Wydawniczej Fr. Krajna Spółka z o. o. Poznań, ulica Strzałowa 2 a.